



GRAŻYNA PLEBANEK NIELEGALNE ZWIĄZKI

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca

Bruksela, 2007

Biegłby tak, nie zatrzymując się, sztafeta pracowa, domowa, rodzinna. Dopiero ta stara budowla wciśnięta między nieważne budynki wpuszcza w jego duszę witrażowe światło. Jonathan wchodzi do kościoła, czując, jak mdławy zapach świec podkreśla ptaszka przysypiającego w jego spodniach. Ona już tam jest.

Jonathan przystaje, bo kolana się pod nim uginają. Dziewczyna idzie do niego wzdłuż rzędów ławek, w półmroku widać zarys smukłej sylwetki, długie włosy falują za nią tym ruchem, którego na świecie za mało, chyba tylko biegnące konie albo bijąca o brzeg piana fal mogą się z nim równać. Jonathan nie brnie w kulawe porównania, bo zapach, ciepło, zarys piersi pod bluzką i widocznych spod spódnicy długich nóg, nie najzgrabniejszych, lecz rozczulająco żrebakowatych, zagarniają go wraz z jednym pocałunkiem, który dziewczyna – właściwie kobieta, tak, to prawdziwa kobieta – składa w kąciku jego ust.

„Szatański pomysł” – myśli Jonathan, przyciskając do siebie ciało pachnące cytryną. W tym czasie jego dłonie podnoszą się i zamykają na jędrności pośladków.

„Komunia ciał” – myśli Jonathan.

– Andrea...

A w duchu dodaje: „Oby trwała wiecznie”.

Półtorej godziny później, kiedy wraca z Ixelles, pospieszając w myślach auto, czuje, że ma więcej mocy niż czteroletnia toyota. Najchętniej wytupałby dziurę w podłodze i dojechał do domu

metodą z Jaskiniowców, bąbelki szczęścia pękają z cichym „pyk”, aż Jonathan wybucha śmiechem.

Wciąż od nowa rozpamiętuje ostatnich kilkadziesiąt minut.

Początek: wychodzą z Andreą z kościoła, ocierają się ciałami jedno o drugie. Wsiadają do samochodu, Jonathan wrzuca migacz i włącza się w sznur samochodów. Przeszkadza mu skrzynia biegów, bo ręka spieszy się pod spódnicę pasażerki. Gdy trafia na pasek skóry nad pończochą, Jonathan wciąga spazmatycznie powietrze. Cudem mija motocyklistę i wsuwa dłoń między uda dziewczyny. Jest w przedpokoju cipki.

Chociaż, prawdę mówiąc, początek był inny. Gdy wychodził z domu na spotkanie z Andreą, z kuchni wychyliła się Megi.

– Jonathan? Czy możesz wziąć pieniądze z bankomatu, jak będziesz wracał z siłowni?

Skinął głową, poprawił na ramieniu torbę ze strojem do ćwiczeń i już go nie było. Obojętna mina, nielogiczne wciągnięcie powietrza, jakby mógł zrolować ciągnącą się za nim smugę zapachu wody kolońskiej i wcisnąć ją do worka ze strojem sportowym, byle dalej od nosa żony.

Pospiesznie pchnął drzwi wyjściowe i stanął na ulicy. Ostatni pytający esemes, w odpowiedzi błysk ekranika – ona, Andrea, już na niego czeka.

Z okna mieszkania dobiegły dziecięce głosy. Jonathan skulił ramiona i szybko podszedł do auta. Córka o mało go kiedyś nie wysypała, pytając, dlaczego na siłownię zakłada najlepszy ti-szert, ten, który Megi przywiozła mu z Nowego Jorku. Kiedy indziej syn przytulił się do niego i pogładziwszy po wygolonym policzku, zapytał:

– Co się stało z twoimi kolecami, tatusiu?

Jonathan rzucił na tylne siedzenie torbę ze strojem na siłownię i ruszył avenue Emile Max. Drzewa kwitły pysznie, jedno białe, inne wiśniowo, opadłe płatki przykrywały ulicę

wilgotnym dywanem, wyścielały załomy jezdni, maskowały brud. Kiedy szedł tędy wczoraj z dziećmi, Antosia zdjęła buty i pobiegła boso, Tomaszek rozjeżdżał pianę kwitnienia kołami rowerka.

Jonathan obiecał sobie, że sfotografuje drzewa, zanim opadną płatki. Oczywiście zapomniał i teraz został mu dzień, najwyżej dwa, by złapać kruche piękno.

Jechał, a drobne, codzienne wspomnienia dziobały pamięć. Minął rondo, zaparkował w bocznej uliczce na tyłach kościoła i wysiadł z samochodu. Był rozdrażniony. Niech wreszcie opadną z niego okruczności życia rodzinnego! Przyjechał tu, żeby spotkać się z kochanką.

Gdy wracał ze spotkania z Andrea, kamienice na placu Dailly grzały się w ciepłe zachodzące słońca, czerwony blask szminkował dachówki. Jonathan skręcił w prawo i zaparkował przed domem. Chwycił za uszy torbę ze strojem sportowym, obrzucił badawczym spojrzeniem wewnątrz auta: siedzenia dzieci były zasłane okrucznościami herbatników, pośrodku walał się pusty karton po soku, zapomniany rysunek – wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Od progu pachniało obiadem. Żona po powrocie z pracy nie zdążyła się jeszcze przebrać. Na nogach miała kapcie, ale pod fartuchem spódnice od kostiumu, przy której dyndała „smycz” – identyfikator dający wstęp do budynku Rady Europejskiej. Jonathanowi przyszło do głowy, że Megi jest żoną nowoczesną: kuchenne wonie nie pokonały zapachu ebonitu, który zwykle ją otaczał, gdy wracała z pracy, woni charakterystycznej dla urzędników spędzających dni przed komputerem.

Jonathan pachniał inną kobietą, dlatego czmychnął na górę.

– Wziąłeś pieniądze z bankomatu? – zatrzymało go pytanie, gdy był już u szczytu schodów.

Klepnął się w czoło, Megi ściągnęła usta. Jonathan odwrócił się i zatrzęsnał w łazience.

Zrzucając z siebie ubranie, uśmiechnął się do lustra. Coś przecież wziął – dawkę energii z bankomatu namiętności. Za nim wszedł pod prysznic, zlizął z palców smak kochanki.

Brukselski start, dwa lata temu – jeden z wielu początków, które tak naprawdę niczego nie zaczynały, ale były wygodnymi oparciami dla pamięci. Wspomnienie dwóch małych kluczy, które wręczyła im właścicielka mieszkania – Jonathan spojrział na nie zdumiony. Sądził, że wysokie na prawie cztery metry pokoje z łukowato sklepionymi, pałacowymi oknami zakończonymi u góry misterną kratką szyb powinien otwierać klucz, jaki w baśniach dyndał u pasa czarownicy.

Megi zamknęła puste mieszkanie i schowała klucze do torby. Obeszli „swoją” nową okolicę, zatrzymując się przed szybą apteki, przed wystawą punktu dorabiania kluczy i szyb. Z chińskiej restauracji wzięli jadłospis dań na wynos, w kawiarni na skwerku przysiedli na kawę.

– *Café au lait, s'il vous plaît* – poprosiła Megi.

– *Lait russe* – skorygował z uśmiechem kelner.

Megi zerknęła znacząco na Jonathana, ale on nie patrzył na nią. Starsi ludzie siedzący przy stolikach obok (potem okazało się, że za rogiem mieści się dom z mieszkaniami dla emerytów) czytali gazety po francusku, kelner brał zamówienie po holendersku, gardłowy arabski toczył się za dziećmi oblegającymi widoczny zza drzew plac zabaw. Wiatr bawił się fałdami długich strojów arabskich kobiet popychających wózki i lizał czekoladowe brzuchy ciemnoskórych matek, za którymi wodził wzrokiem polscy robotnicy.

– Słyszałeś? Kawa z mlekiem to tutaj „rosyjskie mleko” – głos Megi przebił się przez wielojęzyczny gwar.

Jonathan uśmiechnął się z roztargnieniem. Zdążył zapomnieć, jakie piękne pupy mają Murzynki!

Jonathan od wczesnego dzieciństwa wiedział, że podróże oznaczają rozstania. Jego matka wyjechała pierwszy raz, gdy miał siedem lat. Dostała propozycję stażu w Anglii i zniknęła z jego życia na parę miesięcy. Wtedy wydawało mu się, że odeszła na zawsze.

Pewnego dnia pojechali do niej z ojcem. Wizyta minęła tak szybko, że nic z niej nie zapamiętał. Za to sceny pożegnania nigdy nie zapomniał: stali przy bramce na lotnisku, Jonathan uczepiony z całej siły ręki matki czuł, że i ona nie chce go puścić. Ojciec stał obok i wydawał z siebie kolejną serię znaczących chrząknięć, ale Jonathan nie zwracał na niego uwagi. Matka też nie puszczając; wyglądała, jakby chciała się samospalić.

Wówczas ojciec wzrokiem wezwał na pomoc stewardesę, a sam ujął żonę za ramię z niezwykłą dla niego stanowczością. Uścisk ręki matki osłabł, więc Jonathan chwycił ją jeszcze silniej. Wtedy stewardesa uklękła przed nim i powiedziała coś w rodzaju: „Och!”.

Nie zwróciłby na nią uwagi – był w rozpacz, a wymykająca się ręka matki wilgotniała w jego dłoniach, jakby też płakała – gdyby nie oczy stewardesy. Były błękitne, krystalicznie jasne, pełne blasku północy. Stewardesa, wciąż klęcząc, ujęła jego drugą rękę – miała na tyle taktu, żeby nie wciskać swej dłoni w miejsce jeszcze nieostygłe po dotyku matki – i w milczeniu pogłaskała go po policzku.

Jej oczy tak przykuły uwagę Jonathana, że ojciec zdołał po cichu nakłonić matkę, by wymknęła się niepostrzeżenie z hali odlotów. Gdy Jonathana posadzono przy okrągłym oknie samolotu, już nie płakał. Chłonał blask nieba, który był jedynie bladym wspomnieniem spojrzenia tamtej dziewczyny. Od tego czasu matka przestała być dla niego całym światem, za to błękit oczu tropił pilnie.

Jakiś czas potem rodzice się rozwiedli, matka wyszła za Anglika. Gdy Jonathan skończył podstawówkę, ściągnęła go do

siebie, by w Anglii poszedł do szkoły średniej. Ojciec zgodził się na to, nawet za cenę niewidywania syna przez czas nieokreślony. Desperacko pragnął, by Januszek (tak się wtedy nazywał, zanim angielscy kumple, którzy nie byli w stanie wymówić jego imienia, nie ochrztili go Jonathanem) został obywatelem świata, a nie kraju najeżdżanego co i rusz przez sąsiadów.

Kilka lat później oboje rodzice zgodnie użyli tego samego argumentu, naciskając, by po maturze zdawał na studia we Francji. Tam odnalazł drugie w swoim życiu intensywnie błękitne oczy – poznał Szwedkę Petrę. Kiedy zobaczył ją pierwszy raz, zwiślała z pleców kolegi, zbyt pijana, żeby ustać na nogach. Miała twarz Grace Kelly, prosty nos, klasyczne łuki brwi. Gdy spojrzała na niego, przeszedł go dreszcz – mroźne tęczówki, zamglone nadmiarem alkoholu. Pomógł położyć ją na kanapie w akademiku, a sam wyciągnął się koło niej.

Tej nocy nie spał, tylko patrzył na nią i marzył, jak obejmie ustami jej łechtaczkę. Gdy nie mógł dłużej wytrzymać kamienego snu dziewczyny, dotknął palcami jej ust.

Do niczego między nimi tego ranka nie doszło, ale od tej pory Jonathan jej nie opuszczał. Podniecało go w niej wszystko, nawet to, że nie dawała się przeniknąć. Małomówna, powściągliwa, tylko w łóżku się rozgrzewała. Nie przepadała za eksperymentami, ale kiedy brał ją na czworaka, wypinała się jak kotka, aż uda zaczynały jej drżeć, a z ust wrywał się cichy skowyt. Ledwo dochodziła, wysuwał się z niej, obracał na plecy i patrzył w jej źrenice, zasnuty na czarno zimny błękit tęczówek.

Co noc rozgrzewał anielsko jasne, szczupłe ciało, aż dziewczynę zaczęło to męczyć. Miał wrażenie, że z ulgą czekała na okres, żeby zabronić mu dostępu do siebie, chociaż jemu akurat krew nie przeszkadzała, lubił wzmożoną śliskość pochwy, żelazisty zapach przemieszany z wonią seksu. Pompował mocno, aż wilgotniała mu skóra, ssał w zapamiętaniu jej język, ogarnięty mrowiącym podnieceniem.

Wiosną Petra chodziła przez miesiąc podminowana, nie pozwalając mu się tknąć, w końcu powiedziała, że jest w ciąży. Przez chwilę zobaczył w wyobraźni małego ludzika z bardzo niebieskimi oczami, ale Petra nie chciała o tym słyszeć. Po skrobance pomagał jej trochę; twarz dziewczyny, jak zwykle, niewiele wyrażała, tylko oczy wyglądały, jakby wyciekł z nich kolor.

Byli razem jeszcze dwa miesiące. Uroda Petry budziła powszechny zachwyt i atawizm kazał Jonathanowi pilnować takiej samicy. Z drugiej strony – wiedział już, co ta kobieta umie w łóżku.

Po zrobieniu dyplomu we Francji Jonathan przyjechał do Polski na wakacje. Zamieszkał u ojca, poodwiedzał krewnych, nacieszył się smakiem kielbasy i dostępnością czystej wódki. W Polsce było mu „ciepło” – ludzie otwierali się, kiedy tylko przedstawili węszyć podstęp w jego akcencie – ocierali się o siebie w autobusach i tramwajach, krzyczeli i trąbili klaksonami, pocili się ze złości na rząd i sąsiadów, śmiali z pijaków kotwiczących w wiatrach przystanków.

Już miał wracać, gdy na jednej z imprez spotkał Magdę. Młodsza o rok, pisała właśnie pracę magisterską. Miała brązowe oczy i pełne usta. Chociaż miał przed nią sporo dziewczyn, był nawet czas, gdy pociągały go neurotyczki, kruche jak nadtłuczone dzbany (usiłował je pozlepić, ale kiedy od nich odchodził, znów rozpadały się na kawałki), ona była wyjątkowa.

Dla Magdy, która jako dziewczyna Jonathanu dostała od kumpi przezwisko „Megi”, został w Warszawie. Zatrudnił się jako dziennikarz, zaczął zarabiać niezłe pieniądze, za które wynajęli kawalerkę. Wzięli ślub, w dziewięćdziesiątym ósmym urodziła im się Antosia, cztery lata później Tomaszek.

Kiedy w 2005 wyjeżdżali z Polski, Jonathan miał za sobą kilka rozsądnie rozegranych etapów dorosłego życia: załapał się na przełom dziejowy i gdy kapitalizm otworzył paszczę na

młodych, niezmanierowanych, z językami, zaczął zarabiać godziwe pieniądze, pracując najpierw jako tłumacz, potem jako dziennikarz. W dobrym momencie wziął kredyt i kupił mieszkanie; gdy je potem sprzedawał, ceny nieruchomości poszły w górę i Jonathan sporo zyskał.

Miał za sobą też parę faz irracjonalnych: ponieważ urodził się 24 grudnia, a jego imię zaczynało się na „J”, to chociaż był niewierzący, obawiał się, że nie dożyje trzydziestych czwartych urodzin. Stało się inaczej, a Jonathan, któremu w tym przełomowym roku urodził się syn, wpadł w euforię i podjął decyzję, o której jego przyjaciel Stefan mawiał, że wynika z szoku poporodowego – Jonathan zrezygnował z etatu w poczytnym dzienniku, by zostać z dzieckiem w domu.

Opieka nad noworodkiem okazała się najtrudniejszą rzeczą, jakiej się w życiu podjął. Starał się skupić tylko na tym, ale gdy przyszła propozycja napisania artykułu, przyjął ją z pocałowaniem ręki. Potem następną i następną, wreszcie zabrał się za tłumaczenia. Wkrótce stało się oczywiste, że stopniowo rejteruje z „tacierzyńskiego”. A ponieważ żona, licząc na niego, po sześciu tygodniach od porodu wróciła do pracy, Tomaszkiem musiała zająć się niańka. Pensja kobiety była niemal równa temu, co przynosił do domu freelancer Jonathan.

Megi długo wytykała mężowi, że nie został z dzieckiem, tak jak ona, gdy poświęciła dwa lata kariery ich starszej córce. Łatwo jej było mówić! Chociaż twierdziła, że nie było jej lekko, zdaniem Jonathanu wtopiła się bez wysiłku w krajobraz piaskownicy. On zaś, po miesiącu zmieniania pieluch, poczuł, że kumple przestają go traktować jak swojego, a matki ruszające miarowo wózkami widzą w nim wszystko, tylko nie mężczyznę.

Coś mu się jednak udało. W czasie niedosłęgo „tacierzyńskiego” napisał książkę. Była to historyjka dla dzieci, zrodzona z zachwyty córką i synkiem, okraszona poczuciem winy, że nie jest w stanie dać im stu procent swojego czasu, chociaż kobiety

to potrafią, niektórzy mężczyźni też, a na świecie staje się to modne.

Do pierwszej historyjki dopisał drugą i trzecią, i ani się obejrzał, a zaczęto go zapraszać na spotkania autorskie, gdzie matki szczerbatych wielbicieli podsuwały mu książki do podpisu. I jakoś tak, bez wielkiego planu, został bajkopisarzem. Dla przeciwwagi ubierał się w tym czasie jak korespondent wojenny, dopóki nie okazało się, że kamizelki w maskujących kolorach są hitem w sanatoriach.

Kiedy zadzwonił budzik, Jonathan przez chwilę łudził się, że może to sobota. Z dołu dochodził zapach śniadania i ledwo wyczuwalna woń perfum Megi. Trzasnęły drzwi wejściowe. Poniedziałek.

Ruszył do łazienki krokiem chabety. Wysoki, szczupły, po matce odziedziczył ciemne włosy, których nie lubił strzyc. Odśunał je do tyłu, założył okulary i chociaż nocą dół twarzy obrósł, machnął ręką – nie miał siły na golenie.

Antosia wstała bez dłuższego napominania, w nietypowym dla siedmiolatki poczuciu odpowiedzialności, Tomaszek dał się zanieść do łazienki i postawić przed muszlą klozetową. Siusiał z zamkniętymi oczami, złorzecząc na los przedszkolaka. Gdy Jonathan wrócił, by posłać łóżka dzieci, synek zakradł się z powrotem do pokoju i zakopał pod kołdrą.

– Tomaszku – Jonathan stanął nad spiętrzonego kopczykiem i oparł ręce o biodra. – Wstawaj!

– Tośka jest w łazience – dobiegło spod kołdry.

– Antosia, wyłaż!

– Szukam spinki! On mi schował.

– To weź inną – krzyknął Jonathan.

– Nie chcę innej. Chcę tą, którą on mi schował!

Jonathan wyłuskał syna spod kołdry.

– Tomasz, oddaj Antosi spinkę.

– Jaką znowu spinkę?! – Szare oczka otworzyły się szeroko.

Jonathan wybuchnął śmiechem, a Tomaszek, chichocząc diabelsko, wskoczył znów pod kołdrę.

– Wstawaj, jesteście spóźnieni – usiłował zachować powagę Jonathan. – Marsz do łazienki!

- Kiedy ona tam jest.
- Antośka!
- Wyjdę, jak mi odda spinę!

Pół godziny później stali w korku. Remontowaną z dwóch stron avenue de Roodebeek sunęła pojedyncza nitka samochodów, dopiero gdy nurkowali w tunel, jazda nabierała tempa. Wjazd na rondo Montgomery było jak prowadzenie auta w wesołym miasteczku, gdzie każdy wciskał się jak mógł w pierwszą wolną dziuplę na zewnętrznym pasie.

Przed szkołą Jonathan ucałował na pożegnanie Antosię i pobiegł z Tomaszkiem do jego klasy. Po korytarzach biegali małutcy Azjaci, biali, kilku Afrykańczyków. Jonathan zerknął na jedną z matek, Włoszkę, pod której obcisłą bluzką rysował się zgrabny biust. Ktoś zagadał do niego: Kanadyjka chciała umówić swojego syna z Tomaszkiem na popołudniową zabawę. Nie była ładna, ale Polska nie kojarzyła jej się wyłącznie z hydraulikami; prawniczka, jak Megi, czytała Kosińskiego i Kapuścińskiego.

Jonathan pochylił się nad nią, widząc, że zbliża się farmer z Ohio. Drugi rodzynek w tym kurniku, już pierwszego dnia znajomości powiadomił Jonathana o swoich polskich korzeniach. Znał słowo „dupa”, nosił okulary i fryzurę z boleśnie pedantycznym przedziałkiem, a matki szeptały, że jest emerytowanym klawiszem z więzienia w Ohio.

Jonathan pożegnał się z Kanadyjką i ruszył na parking. Nie od razu przekręcił kluczyk w stacyjce. Nie chciało mu się wracać. Do Brukseli przyjechał już ich dobytek, w domu czekały stosy pudeł. Chociaż codziennie je rozpakowywał, optycznie ich przez to nie ubywało.

Ruszył, ale tylko po to, by zatrzymać się w bistro przy pobliskim skwerze. Kupił kawę i otworzył laptopa. Mejl od Stefana.

Zanim kliknął, rozejrzał się ostrożnie dokoła. Przyjaciół Jonathana, kolega Megi ze studiów, który podobnie jak ona dostał pracę w Komisji i przeniósł się do Brukseli, zwykle dołączał

do mejli strony pornograficzne. I tym razem na ekranie wykwitły piersi. Jonathan przymknął klapę laptopa – tyle razy mówił Stefanowi, że on, Jonathan, jest „ass-man” – woli piękne tyłki i długie nogi!

Po chwili zerknął na zdjęcie. Nie ufał mężczyznom, którzy twierdzili, że nie oglądają gołych panienek, bo są prostackie, a filmów porno, bo nudzą ich dialogi.

W końcu gestem zawołał kelnera. Drgnęło w nim poczucie winy – Megi zasuwała na etacie, a on siedział w słońcu i oglądał pornola.

Kiedy wiosną 2005 roku kupili bilety lotnicze Warszawa–Bruksela, Jonathanowi spadł kamień z serca. Ostatnie dziesięć lat mieszkał w jednym miejscu. Dał się „udomowić”, z miłości do Megi. Nie skarżył się, jednak tęsknota za podróżowaniem odzywała się, jak rana po postrzale. Domyślał się, że przeprowadzka czteroosobowej rodziny do innego kraju może przypominać przenosiny cyrku Knee, ale nęciła go wizja obiecującego wolność zagłowca.

W 2005 Megi, która przekroczyła barierę wieku Marilyn Monroe i księżnej Diany – skończyła trzydzieści sześć lat – jednak w odróżnieniu od nich nadal żyła, dostała prezent od losu: propozycję pracy w Brukseli. W rzeczywistości, długo się uczyła do egzaminów unijnych, po czym je zdała, chociaż krewni, chętni widzieć w niej przede wszystkim żonę i matkę, lubili przypisywać brukselską ofertę splotowi okoliczności i nazywać ją, jak to określił wuj Tadeusz, „fartem”.

Gdy Megi dowiedziała się, że zdała egzaminy i dostała pracę, dzięki której może utrzymać czteroosobową rodzinę w środku Europy, w pierwszej chwili struchlała, jakby własnym krzykiem poruszyła lawinę. Potem przez kilka wieczorów zamykała się w kuchni i pisała na kartkach argumenty „za” i „przeciw”. Jonathan, który wiedział aż za dobrze, że namawianie Megi do

czegokolwiek może odnieść skutek odwrotny, wybrał czekanie. Wreszcie zmięła kartki, usiadła przy kuchennym stole i zawołała Jonathana. Kilka dni później wydali podwieczorek, by w słodkich oparach szarlotki oznajmić dalszej rodzinie, że przenoszą się do Brukseli.

Pierwszy obraził się wuj Tadeusz, bo nie tak, jego zdaniem, wyglądał prawdziwy patriotyzm. Wymawiał to słowo tak, że brzmiało jak „patriotyz” i Jonathan chętnie by go ugryzł w tłustą nogę, również dlatego, że wuj podawał w wątpliwość męskość Jonathana od czasu, gdy ten zrezygnował z etatu. „Tak nie robi prawdziwy mężczyzna” – sarkał emeryt, uparcie ignorując „ę” w ostatnim słowie. Pozostali krewniacy pytali: „Gdzie będziecie jechać do obcych?” i: „A po co do tej Belgii?”.

Megi i Jonathan zostawili w Warszawie torciki wedlowskie („żebyście mieli w tej Belgii coś słodkiego”), dzieci powierzyli opiece babci i pewnego wiosennego dnia 2005 roku stanęli na nieznanym sobie placu, mrużąc oczy w blasku znanym z obrazów wielkich Flamandów. Ta chwila była wykuszem w pamięci, chwilą oddechu, zanim codzienność znów się ocknęła.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca